



Umberto Eco „Imię róży”, reż. Radosław Rychcik, Teatr im. Słowackiego w Krakowie, 2019. Fot. Michał Ramus / Teatr im. Słowackiego w Krakowie

Zło wcielone w habit

KATARZYNA NIEDURNY

PRZEDSTAWIENIA / 15 LUT, 2019

Krakowskie środowisko teatralne plotkowało o tym spektaklu od dawna. Miało to być pierwsze premierowe przedstawienie Radosława Rychcika po chwili nieobecności w teatrze. A w dodatku znany z szalonych, nieintuicyjnych adaptacji reżyser brał sobie tym razem za cel wielkie (pod względem kariery, jak i objętości) dzieło Umberto Eco *Imię róży*. Już przed premierą mówiono o niezwykłym dla reżysera realizmie, odtwarzanych z dużą uwagą szczegółach wystroju średniowiecznego klasztoru i muzyce wzorowanej na chorałach gregoriańskich. Mimo tych przecieków z prób spektakl okazał się i tak zaskakujący dla widza. Niestety,

Pierwszym zaskoczeniem była już sama adaptacja tekstu, której podjął się reżyser przedstawienia. *Imię róży* Umberto Eco to wielopoziomowa narracja, wpłątana w liczne dygresje, która z średniowiecznego klasztoru tworzy labirynt znaczeń i kontekstów. Może się to podobać albo i nie, może porywać, albo nudzić i irytować. Trudno jednak po lekturze stwierdzić, że pytanie kto zabił jest najważniejszym pytaniem tej książki, potraktować ją jak prosty kryminał.



Umberto Eco „Imię róży”, reż. Radosław Rychcik, Teatr im. Słowackiego w Krakowie, 2019. Fot. Michał Ramus / Teatr im. Słowackiego w Krakowie

A jednak, jak pokazuje krakowski spektakl, jest to możliwe. Radosław Rychcik zdecydował się skupić na wątku intrygi: śledztwa prowadzonego przez dwóch mnichów: przebiegłego Anglika Wilhelma z Baskerville (Rafał Dziwisz) i jego młodego pomocnika, naiwnego, lecz pełnego dobrych chęci Adsa (Karol Kubasiewicz). Ta para przybywa do włoskiego opactwa benedyktynów, by uczestniczyć tam w debacie na temat ubóstwa Chrystusa. Na miejscu okazuje się jednak, że czeka ich tam o wiele poważniejsze zadanie. Zakonem wstrząsnęła bowiem informacja o śmierci jednego z mnichów, którego ciało odnaleziono roztrąskane na skałach. Kluczem do rozwiązania tajemnicy okazała się zakonna biblioteka, do której wstępu przyjezdnym bronił rozkaz surowego przeora.

Zakładam jednak, że nawet jeśli reżyser miał szczególną ochotę na zrobienie kryminału na scenie, do czego zresztą miał pełne prawo, mógł to zrobić inaczej; na przykład dobrze. A po obejrzeniu spektaklu nie jestem pewna, czy widzowie, którzy nie znali filmu, lub książki są w stanie orzec, o co właściwie chodzi w przeprowadzanej intrydze. Utrudnia im to skrótowna i niezręczna adaptacja, w której pominięto na przykład informacje o homoerotycznych relacjach łączących co poniektórych mnichów. Utrudnia to znacznie rozeznanie się w tworzonych w zakonie sojuszach i informacjach, kto komu i z czego się zwierza. Wszyscy bohaterowie przedstawieni na scenie zostali bowiem spłyceni do roli mnichów, których opisać można jednym przymiotnikiem: surowy, złowrogi, zagubiony, brzydki. Zrobiono z nich chodzące w habitach schematy.

» **Miała być *Gra o tron*, a wyszła *Korona królów*.**

Schematyczna jest zresztą cała akcja tego spektaklu. I niestety słowo akcja jest z mojej strony pewnym wyolbrzymieniem, ponieważ wydarzenia na scenie polegają na tym, że do stojących i rozmawiających o czymś mnichów dobiega kolejny, który oświadcza, że coś się stało, w następstwie czego wszyscy są poruszeni. Ewentualnie nikt nie dobiega, wszyscy stoją i po prostu debatują o jakiś sprawach. Spektakl jest niezwykle statyczny, zadziwiające jest więc to, że wśród realizatorów wymieniony jest odpowiedzialny za choreografię Jakub Lewandowski, który mógł się chyba wykazać jedynie w scenach, w których jedne dekoracje zastępowane są innymi.

Kolejnym powracającym w konstrukcji spektaklu elementem są narady naszych głównych bohaterów. Odbywają się one na proscenium, w myśli zasady – jeśli stoję tyłem do reszty bohaterów to na bank mnie nie słyszą. Mnisi teatralnym szeptem wykonują wtedy posumowania dotychczasowych zdarzeń, snują plany i generalnie spiskują, to popisując się niesłychaną elokwencją (Wilhelm) to zadając naiwne pytania rozjaśniające oglądającym akcję (Adso).



Umberto Eco „Imię róży”, reż. Radosław Rychcik, Teatr im. Słowackiego w Krakowie, 2019. Fot. Michał Ramus / Teatr im. Słowackiego w Krakowie

Wszystko to sprawia, że ten spektakl ma w sobie coś z serialu. Nie chodzi mi jednak, niestety, o nowe produkcje Netflixa, czy HBO, a raczej wytwory telewizji polskiej dedykowane młodzieży w latach dziewięćdziesiątych. Jest intryga, są schematyczni bohaterowie, każda z części spektaklu trwa czterdzieści pięć minut i skonstruowana jest jak fabuła odcinka – zaczynamy spokojnie od refleksji o świecie, akcja powoli ma się zagęszczać, punkt kulminacyjny, przerwa. Brakuje tylko napisów końcowych.

Dziwnie serialowa jest tu również muzyka. Poza wspomnianymi już momentami wyśpiewywania czegoś na kształt chorału, czego komentować się nie podejmuje, melodia ma tu za zadanie komentować fabułę. Robi się złowieszcza w czasie złowieszczych zdarzeń, uspakaja w momentach wyciszenia, zapowiada wydarzenia, które za chwilę mają się dopiero zacząć na scenie. Serialowe są tu także wspomniane już dekoracje, które chcą być bardzo realistyczne i oddawać ducha epoki. Widać jednak, że zabrakło budżetu i samo medium do dokładnej rekonstrukcji ducha czasów również się nie nadaje. Miała więc być *Gra o tron*, a wyszła *Korona królów*. Serialowa jest dosłownie przedstawianych zdarzeń, serialowe są projekcje, na których jak mnich ma problemy to nie może spać i wije się w łóżku, co niestety musimy oglądać. Serialowe wreszcie są zbliżenia na twarze aktorów, którzy wchodzą w konwencję tego strasznego spektaklu i robią wprost do krążącej po scenie kamery to złowieszcze, to chytne, to przerażone miny, w zależności od charakteru postaci i następujących wydarzeń.

Po tych trudnych trzech odcinkach *Imienia róży* doczekujemy wreszcie rozwiązania intrygi. Odpowiedzi na pytanie, kto zabił nie będę tutaj zdradzać, bo jednak jeśli ktoś nie wie, a na spektakl się wybiera, jest to jedyna rzecz, na którą po tych ponad dwóch godzinach oglądania może jeszcze czekać. W wielkim finale zło wcielone w habit rozlewa się wreszcie po całej scenie. Spada przesłonka, na której wyświetlana jest animacja ognia. Zza niej słychać okrzyki w stylu „Adso, łap starca”, wystarczy jeszcze chwilę poklaskać i można wyjść z murów tego smętnego opactwa.

» **Po co w ogóle tworzyć taki teatr: fabularny, mający naśladować rzeczywistość i pieczołowicie odtwarzający szczegóły w czasach, w których istnieje telewizja, istnieją platformy serialowe, istnieje medium, z którym trudno pod tym względem konkurować.**

Najważniejszym pytaniem, które powstaje w głowie w czasie tych wielu minut udreki nie jest jednak to kto zabił, ale pytanie o to, po co w ogóle tworzyć taki teatr: fabularny, mający naśladować rzeczywistość i pieczołowicie odtwarzający szczegóły w czasach, w których istnieje telewizja, istnieją platformy serialowe, istnieje medium, z którym trudno pod tym względem konkurować. Po co tworzyć spektakl bez cienia metafory, bez wyobraźni, w którym nie ma tematu do przeprowadzenia, jakiegokolwiek powodu do tego, by przenieść akcję książki na scenę? Na te pytania jednak krakowski spektakl Radosława Rychcika nie przynosi odpowiedzi.

Tagi:

teatr im. słowackiego w krakowie

radosław rychcik

imię róży

UDOSTĘPNIJ



KATARZYNA NIEDURNY

Teatrolożka, recenzentka, dziennikarka. Publikowała między innymi w „Dwutygodniku”, „Didaskaliach”, w portalu Onet.pl. Laureatka tegorocznej edycji Ogólnopolskiego Konkursu im. Żurowskiego dla młodych krytyków.

PRENUMERATA I SPRZEDAŻ

WSKAZÓWKI DLA AUTORÓW -

- > Redakcja tekstu
- > Format tekstu
- > Format przypisów
- > Informacje
- > Przeciwdziałanie złym praktykom

NUMERY SPECJALNE



PRZYDATNE LINKI

